

„Emocje, przygoda i inspiracja”

— Christopher McDougall, autor bestsellerów *Urodzeni biegacze*
i *Urodzeni bohaterowie*

PÓŁNOC

Jak odnalazłem siebie
na Szlaku Appalachów

SCOTT JUREK

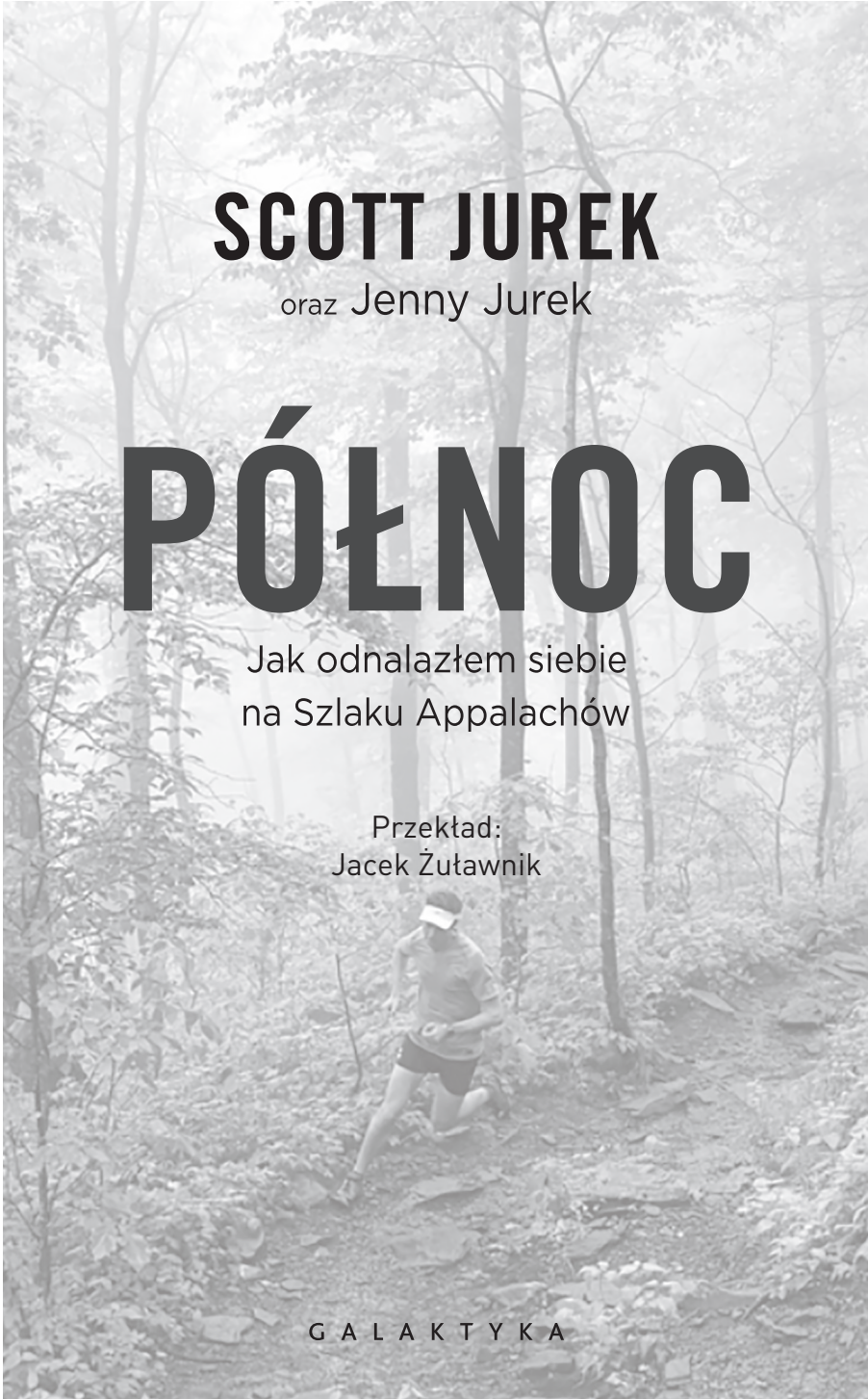
AUTOR BESTSELLERA *Jedź i biegaj*

oraz **Jenny Jurek**



GALAKTYKA





SCOTT JUREK

oraz Jenny Jurek

PÓŁNOC

Jak odnalazłem siebie
na Szlaku Appalachów

Przekład:
Jacek Żutawnik

G A L A K T Y K A

Tytuł oryginalny: *North. Finding my way while running The Appalachian Trail*

Copyright © 2018 by Scott Jurek

All Rights Reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

WYDANIE POLSKIE

© for the Polish edition: Galaktyka Sp. z o.o., Łódź 2018

90-644 Łódź, ul. Żeligowskiego 35/37

tel. +42 639 50 18, 639 50 19, tel./fax 639 50 17

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-676-6

Konsultacja: *Krzysztof Dolegowski*

Redakcja: *Elżbieta Derelkowska*

Redakcja techniczna: *Marta Sobczak-Proga*

Korekta: *Monika Ulatowska*

Redaktor prowadzący: *Marek Janiak*

Fotografie: *Luis Escobar* © 2018

Mapy: *Jeremy Collins*

Projekt okładki: *Artur Nowakowski*

Skład: *Garamond*

Druk i oprawa: *LCL*

Księgarnia internetowa!!!

Pełna informacja o ofercie, zapowiedziach i planach wydawniczych

Zapraszamy

www.galaktyka.com.pl

e-mail: info@galaktyka.com.pl; sekretariat@galaktyka.com.pl

Choć autor i wydawca dolożyli wszelkich starań, aby zawarte w tej książce informacje były rzetelne i kompletne, nie ponoszą oni żadnej odpowiedzialności za mogące pojawić się błędy, nieścisłości, przeoczenia lub niezgodności i nie udzielają żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawca nie jest odpowiedzialny za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej książce. Autorzy i wydawca nie mieli też zamiaru nikogo obrazić ani przedstawić w złym świetle miejsc i organizacji.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez pisemnej zgody wydawcy książka ta nie może być powielana w częściach, ani w całości. Nie może też być reprodukowana, przechowywana i przetwarzana z zastosowaniem jakichkolwiek środków elektronicznych, mechanicznych, fotokopiarskich, nagrywających i innych.

SPIIS TREŚCI

PROLOG 13

ROZDZIAŁ PIERWSZY DAWAJ I BIERZ 15

GŁĘBOKIE POŁUDNIE

ROZDZIAŁ DRUGI ŻYJ TYM, CO KOCHASZ 35

ROZDZIAŁ TRZECI MAJSTERSZTYK *WABI SABI* 49

ROZDZIAŁ CZWARTY OTO KIM JESTEM, OTO CO ROBIĘ 61

ROZDZIAŁ PIĄTY ZAWSZE STAWIAJ NA MISTRZA 80

WIRGINIA

ROZDZIAŁ SZÓSTY NIGDY NIE JEST TAK, ŻEBY NIE MOGŁO BYĆ GORZEJ 97

ROZDZIAŁ SIÓDMY POŁUDNIOWA GOŚCINNOŚĆ 110

ROZDZIAŁ ÓSMY SKUBANIE 124

STANY ŚRODKOWOATLANTYCKIE

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY ROCKSYLWANIA 143

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY NA SZLAKU DO DOSKONAŁOŚCI 158

NOWA ANGLIA

ROZDZIAŁ JEDENASTY BĘDZIE PASKUDNIE 175

ROZDZIAŁ DWUNASTY VERMUD 187

ROZDZIAŁ TRZYNASTY KOMANDOS 201

PÓŁNOC: JAK ODNALAZŁEM SIEBIE NA SZLAKU APPALACHÓW

MAINE

ROZDZIAŁ CZTERNASTY	TANIEC Z DŻINEM	223
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	STUMIŁOWY KOSZMAR	233
ROZDZIAŁ SZESNASTY	RZUTEM NA TAŚMĘ	246
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY	NAJWIĘKSZA GÓRA	254

EPILOG	259
--------	-----

PODZIĘKOWANIA	263
---------------	-----

O AUTORZE	265
-----------	-----

ROZDZIAŁ CZWARTY

OTO KIM JESTEM, OTO CO ROBIĘ

DZIEŃ PIĄTY

Nie tylko obcy ludzie odnajdowali mnie na szlaku. Robili to również starzy przyjaciele.

Był ucieleśnieniem zręczliwego proroka, samozwańczego szkoleniowca, który próbuje stymulować twój rozwój, ucinając ci nogi na wysokości kolan. Włączyłem go do grona tych moich znajomych, których towarzystwo bywa uciążliwe, ale za którymi zaczynam tęsknić, jak tylko się z nimi rozstaję. Był moim Yodą z Południa.

Nazywał się David Horton; niektórzy wołali na niego Horty, za czym nie szczególnie przepadał. Przydomkiem obdarzył go jeden z jego licznych uczniów, apostołów biegowego cierpienia. Horty brzmiało zapewne o niebo lepiej wypowiadane południowokarolińskim nosowym akcentem, ale nie wyobrażał mi sobie z JLu, że moglibyśmy nazywać go inaczej. Na pewno nie imieniem, które dali mu rodzice, bo przecież był kimś więcej niż po prostu Davidem: był Hortym. Sam wołał, a nawet wymagał, aby ludzie zwracali się do niego z szacunkiem per Doktorze Horton albo nawet Królu D-Ho.

Poznaliśmy się w 1998 roku w Lynchburgu w Wirginii podczas spotkania organizacyjnego przed pięćdziesięciomilowym wyścigiem Mountain Masochist. Miesiąc wcześniej przybiegłem jako drugi w Angeles Crest, swoim pierwszym stumilowcu, a jeszcze wcześniej wygrałem trzy pięćdziesięciomilowce i w trzech innych zająłem miejsce na podium. Miałem dwadzieścia cztery lata i włosy do ramion. Dopiero zaczynałem nadbudowywać swoją ultramaratońską karierę nowymi rodzajami rywalizacji – po to przyjechałem do Lynchburga w Paśmie

Błękitnym. Uznałem, że pora zmierzyć się z biegową konkurencją na wschód od Missisipi. Wyróżniałem się z towarzystwa. Kierownik zawodów, który prowadził spotkanie tamtego piątkowego wieczoru, obrzucił mnie wzrokiem, lypnął na miseczkę ze stali nierdzewnej, z której jadłem kolację: komosę ryżową z czarną fasolą, i uśmiechnął się z wyższością. Był chudy i muskularny. Jeszcze nie tak posunięty w latach, by zacząć siwieć, ale niewiele mu brakowało. Rzut oka na jego białą koszulkę polo i starannego jeża na głowie wystarczył, bym się zorientował, że moje długie kędziory i luzacka postawa Zachodniego Wybrzeża, którą emanowałem, nie pasują do tych okolic.

– Ej, Juuurek – odezwał się, mocno przeciągając samogłoski; z czasem nieźle się osłuchałem z tym akcentem. – Wyglądasz, d z i e w c z y n o, pieeerwsza klasa! Co tam chowasz w tej miseczce? Psiego belta?

Tak brzmiały pierwsze słowa wypowiedziane do mnie przez Horty'ego. (Znacznie później przedstawił się Jenny w równie dziwaczny sposób). A potem dorzucił w swoim stylu:

– Myślisz, że będziesz pan gnał jak ta strzaała w Appalachach, panie Jurek? Tu, na wschodzie, mamy góry dla prawdziwych twardzieli!

Sądziłem, że nie jestem typem człowieka, który ocenia innych na podstawie opinii, jakimi się cieszą, ale w przypadku Horty'ego reputacja zdecydowanie go wyprzedzała. Może to była próbka ciętego południowego humoru albo sposób na zabawienie się moim kosztem. W każdym razie wiedziałem, że pod tą pozornie grzeczną powierzchownością kryje się niezły szelma. Mimo że dzieliło nas niemal wszystko, zostaliśmy kumplami od biegania i chętnie spotykaliśmy się na trasach górskich wyścigów.

Miał doktorat z pedagogiki i wykładał fizjologię treningu na Liberty University w Lynchburgu, uczelni założonej przez telewizyjnego kaznodzieję Jerry'ego Falwella. Oprócz teorii treningu uczył też biegania – przez semestr jego studenci do krwi taplali się w błocie na szlakach, które Horty wyznaczył w sąsiedztwie Liberty. W swoim stylu każdemu studentowi, który ukończył ultramaraton, podwyższał ocenę końcową z zajęć.

Na tworzonych przez siebie trasach, zwłaszcza na długich podbiegach, umieszczał tabliczki z hasłami typu: „Tłuszcz wrogiem szybkości”. Od ponad piętnastu lat organizował i prowadził rocznie pięć imprez ultra. Nie znam nikogo, kto tak jak on ukochałby biegi terenowe i skupioną wokół nich społeczność. Większość ultramaratończyków bała się Króla D-Ho. Albo szanowała go. Albo unikała. Albo wszystko naraz.

Uwielbiał deptać mi po piętach. Był jednym z niewielu, którzy mogli mnie przegonić, jeśli chodzi o doświadczenie. Wygrał dwadzieścia pięć ultramaratonów, w tym kilka imprez wytrzymałościowych na najbardziej osławionych i szalonych trasach na świecie. Zajmował trzecie miejsce w zestawieniu najszybszych biegaczy transkontynentalnych: przebiegł Amerykę w szesćdziesiąt pięć dni, pokonując średnio siedemdziesiąt dwa i pół kilometra dziennie, przy czym jego tempo wynosiło przeciętnie pięć minut i czterdzieści pięć sekund na kilometr – niezły wynik, jeśli uwzględnić liczne utrudnienia w postaci Sierra Nevada, Wielkich Równin, Gór Skalistych, Appalachów i całej reszty atrakcji na liczącej cztery tysiące dziewięćset trzydzieści pięć kilometrów trasie. W 1991 roku ustanowił rekord prędkości AT. W 2005 roku, na późnym etapie swojej kariery, osiągnął FKT na mierzącym cztery tysiące dwieście siedemdziesiąt kilometrów PCT, rysując na mapie Stanów Zjednoczonych, jak to ujął „wielkie H jak Horton”: zaliczył dwa szlaki prowadzące z północy na południe (albo odwrotnie) i bieg transkontynentalny z zachodu na wschód przez środek kraju.

Horty nie był najwybitniejszym sportowcem, ale chętnie się mianem jednego z najwytrzymalszych. Dwa razy zwyciężył w Hardrock, będącym zarówno jeśli chodzi o reputację, jak i rzeczywistość, najbardziej wyczerpującym wyścigiem stumilowym w Ameryce Północnej. Trasa biegu, który ma start i metę w Silverton w Kolorado, w sercu gór San Juan, prowadzi przez szczyt wznoszący się na wysokość czterech tysięcy dwustu osiemdziesięciu jeden metrów, sześć zaśnieżonych przełęczy powyżej trzech tysięcy dziewięćset metrów każda, wartkie, lodowate rzeki i stoki piargowe tak strome, że nawet biegacze, którzy wspinają się na czworakach, tracą przyczepność i zsuwają się po kamieniach. Suma przewyższeń na trasie to ponad dziesięć tysięcy metrów; w ulotce na temat wyścigu można przeczytać, że to jakby wbiec na Mount Everest i z powrotem.

Jednakże nie same zwycięstwa w Hardrock przydały Horty’emu odporności, lecz to, w jaki sposób je wywalczył.

Kiedy podczas zawodów w 1998 roku Horty wbiegał na zbocze przełęczy Grant Swamp, potrącony przez znajdującego się wyżej zawodnika kamień wielkości melona uderzył go w prawą dłoń. „Nieco później – napisał pięćdziesięciojednoletni wtedy Horty we wspomnieniach z biegu – zauważyłem, że rękawiczka jest cała we krwi”. Po zawodach okazało się, że doznał złamania wieloodłamowego. W 2001 roku Horty i Blake Wood dołączyli do nielicznego, bo jednoosobowego (mowa o Marku Williamsie, zwycięzcy z 1995 roku) grona osób, które ukończyły Barkley Marathons, bieg zaprojektowany tak, by dotarcie

na metę graniczyło z cudem; hasło zawodów brzmiało: „Wyścig, który pożera swoje młode”.

Nie jestem pewien, jak to nazwać: zaciętością, głupotą czy może hartem dzikusa, ale w 2011 roku Horty jakimś sposobem zdołał przekonać swojego kardiologa, żeby ten przesunął operację na otwartym sercu Horty’ego o trzy dni po to, aby Horty mógł spełnić obowiązek kierownika stukilometrowego wyścigu Hellgate. Niczym kot o dziewięciu życiach, przetrwał biegowy weekend, by w poniedziałek położyć się do szpitala na operację wszczepienia siedmiu bypasów. Oczywiście konieczność wykonania zabiegu rzucił na karb genów, a nie podległy jedzenia ze stacji benzynowych, jakim się żywił.

Ostatni raz widziałem się z nim podczas Hardrocka w 2014 roku. Krótco przed zawodami przeszedł wymianę stawu kolanowego w lewej nodze; kursował między punktami odżywiania na rowerze górskim. Od tamtej pory niewiele złagodniał.

– Ładniutko tu na górze, co nie? – dobiegł głos z ciemności.

Odnalazł mnie późnym wieczorem piątego dnia niczym szlakowy posokowiec, którym w istocie był, i zaskoczył na trawiastym szczycie Max Patch* na wysokości tysiąca czterystu dziesięciu metrów. Spoglądaliśmy na wielopoziomowe północnokarolińskie doliny, skąpane w łagodnym świetle księżyca. Niezwykle, wzniosłe chwile – dla każdego, nawet dla mnie, przez cały dzień przedzierającego się przez złany deszczem Zielony Tunel i mającego za sobą mordercze siedemdziesiąt dwa kilometry na postrzępionych jak zęby tępej piły graniach Smokies. Przed nami rozciągał się wysoki, samotny raj o kantach i nierównościach wygładzonych przez rozproszony księżycowy blask, przełamany jedynie tu i tam niebieskawo-zieloną bioluminescencją grzybów, która sprawiła, że butwiejące drewno zaczęło świecić.

Horty kochał AT i uwielbiał przebywać w górach, ale nie dla niego upajanie się pejzażami i pławienie w nastroju. Nie przepadał za dłużyznami. Bo przecież musiał załatwić to i tamto, spotkać się z tym i tamtym. To jego wieczne, nomen omen, zabieganie, to nieustające parcie do przodu, nie dotyczyło wyłącznie szlaku, ale każdego aspektu życia.

Szybko zrozumiałem, że nasze podejście do Szlaku Appalachów różni się diametralnie. Oba nam zależało, żebyśmy ustanowili FKT, ale odmiennie postrzega-

* Nazwa góry, tak jak wiele innych w Appalachach, pochodzi od nazwiska farmera (tu: Max), który osiedlił się tam w XIX wieku i oczyścił teren pod pastwiska. *Patch* zaś to skrawek, splachець, innymi słowy działka położona na „lysym”, porośniętym jedynie niską, trawiastą roślinnością grzbiecie.

liśmy sposób, w jaki miało się to odbyć. Horthy pojawił się akurat wtedy, kiedy zdobyłem szczyt w Appalachii, który po zachodzie słońca prezentował się szczególnie pięknie. Miękkie, pulsujące barwy, cisza, chłodne wieczorne powietrze, gwałtowny skok dopaminy – wszystko to sprawiło, że zapragnąłem godzinami chłonać ból nocy, kąpać się w morzu endorfin, na które zasłużyłem wysiłkiem. Horthy niczego nie chłonał. Horthy się nie rozkoszował. Nie sądzę, aby kiedykolwiek to robił. Miał za to w zanadrzu garść porad. Powiedział, że powinienem zakończyć dzień na Lemon Gap*. Powiedział, że jeśli na serio myślę o FKT, muszę biegać wydajniej. Powiedział, że powinienem wcześniej kłaść się spać, żeby nie musieć biegać po ciemku. A potem ruszył na południe, tam skąd przybył, na początek szlaku, gdzie zostawił swoją hondę element. Kiedy odwróciłem się od rozświetlonej grzybami doliny i skierowałem na północ, krzyknął za mną:

– Tylko uważaj, chłopcze, na oznaczenia trasy! Tam na dole szlak nieeeeżle daje w kość!

Miał rację: szlak dał mi w kość. Mokra, kamienista ścieżka okazała się sporym obciążeniem dla moich stawów. W trakcie zbiegania czułem nasilające się ukłucia bólu w prawym kolanie. Nieustanny nacisk na kostki i golenie wytrącał mnie z równowagi i osłabiał krok, zamieniał nogi w niepewną podstawę. Nie wiem, co było przyczyną, ale ból kolana pojawił się już wcześniej tego dnia, na czterdziestoośmiokilometrowym odcinku w dół, prowadzącym poza granicę parku narodowego, i na szesnastokilometrowym fragmencie szlaku, po tym jak dołączyła do mnie JLu. Zorientowałem się, że coś jest na rzeczy, kiedy zacząłem zostawać w tyle podczas zbiegania: to się nigdy nie zdarza, nawet gdy mam w nogach prawie pięćdziesiąt kilometrów. Skwitowaliśmy problem śmiechem, biegnąc radośnie pośród popołudniowej burzy, a potem pochłonałem rozmiękle wegańskie chipsy serowe. Nieco później JLu spróbowała podnieść mnie na duchu i jednocześnie zakpić sobie ze mnie: widząc, że ciągnę ostatkiem sił, puściła na telefonie motyw przewodni z *Rocky'ego*. Dzięki krótkim przerwom na śmiech podczas tych na pozór niekończących się wspólnych błotnych kilometrów Jenny i ja wiedzieliśmy, że znajdujemy się we właściwym miejscu. A przeszywający ból kolana? Na pewno nie zepsuje nam przyjemności. Tak jak każdy zaprawiony w boju biegacz starałem się o nim nie myśleć, kiedy zbliżałem się do mety odcinka na Lemon Gap; liczyłem, że przez noc po prostu przejdzie.

* Nie ma zgody co do pochodzenia nazwy tej przełęczy. Jedni wywodzą ją po prostu od cytryn (*lemon*), inni od cieniaśa, mizeraka (też *lemon*), potocznego określenia osoby o kiepskich możliwościach sprawnościowych.

Nie przeszedł.

Rano kolano było opuchnięte, wrażliwe i obolałe. Jako fizjoterapeuta podejrzewałem, że podrażniłem chrząstkę znajdującą się pod rzepką. Ta dolegliwość dotyka biegaczy tak często, że zyskała dość oczywistą nazwę: kolano biegacza.

Przypadłość była bolesna i denerwująca, ale nie przekreślała szans na ukończenie trasy; na pewno nie zamierzałem pozwolić, by mnie powstrzymała. Znałem ultramaratończyków, którzy docierali na metę z ledwo wydolnymi nerkami albo którzy tracili kontrolę nad jelitami. W 1998 roku Joel Zucker, weteran górskich biegów, pokonał ostatnie trzydzieści parę kilometrów Hardrock z paralizującym bólem głowy. Po wyścigu, jadąc samochodem na lotnisko, żeby zdążyć na samolot do domu w północnej części stanu Nowy Jork, zmarł wskutek pęknięcia tętniaka mózgu. Kolano biegacza nie było zatem najgorszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić. My, biegacze, nie kapitulujemy przed tym.

Przez początkowe trzysta kilometrów pierwszego czerwca, szóstego dnia wyprawy, musiałem wbiec dwieście metrów, potem zbiec trzysta sześćdziesiąt, następnie znów wbiec i ponownie zbiec. Pocieszało mnie to, że deszcz wreszcie przestał padać, a po kilku kilometrach kolano rozluźniło się i jakby przypomniało sobie, do czego służy; wymagałem od niego, żeby pozwalało mi wędrować i biegać osiemdziesiąt kilometrów dziennie. Interesujące w kolanie biegacza (zespole bólu rzepkowo-udowego, jak brzmi oficjalna nazwa schorzenia) jest to, że częstokroć ból łagodnieje, kiedy się ruszasz, oczywiście o ile ograniczysz nacisk chrząstki na spód rzepki. Chrząstka stawowa, która została podrażniona albo jest w stanie zapalnym, nie lubi, kiedy się ją trąca albo pociera; jest jak świeży bąbel. Raczej nie dojdzie do siebie, jeśli będziesz gnał zbyt szybko, sporo zbiegał albo zaliczał przesadnie dużo kilometrów. Jeśli chodzi o kilometry, nie miałem wyboru, ale postanowiłem spróbować przenieść choć część obciążenia z prawej nogi na lewą. Ryzyko chyba się opłaciło i poranna ulga od bólu podziałała zachęcająco.

Kiedy dotarłem do północnokarolińskiego odcinka autostrady 212, byłem nieźle obolały i do tyłu z czasem. Obłożyłem prawe kolano workiem z lodem i nie tyle biegłem, co szedłem, kuśtykając. A przecież pokonałem dopiero niecałe pięćset kilometrów trasy AT.

Mimo to chłonałem ducha szlaku. Kilka kilometrów wcześniej minąłem mogilę, w której spoczywają ofiary masakry, jakiej w styczniu 1863 roku dopuścili się konfederaci, brutalnie mordując rodzinę Sheltonów oraz trzynastoro innych rzekomych sympatyków Unii, w tym kobiety i dzieci. (Do zdarzenia nawiązuje jedna ze scen w filmie *Wzgórze nadziei*).

Dalej: bezkresny grzbiet, a za nim ponad sześćset metrów w dół ku Devil Fork Gap (przełęcz Diabelskie Widły) i spotkanie z JLu. Pokonałem osiemdziesiąt kilometrów. Słońce zachodziło i klimat stuletnich grobowców, mgły, deszczu i ciemności robił upiorne wrażenie – jak z horroru. Jakby tego było mało, kiedy dotarłem do JLu i vana, Horty poinformował nas, że okolica słynie z mieszkańców wrogo nastawionych do szlaku i wędrowców. Korzenie ich urazy tkwią w czasach, gdy rząd Stanów Zjednoczonych dokonywał rekwizycji ziemi w celu ustanowienia służebności drogi na nowo utworzonym szlaku turystycznym. Kiedy w 1991 roku Horty bił rekord AT, na tym odcinku roilo się od pułapek; na przykład rozwieszano żyłki zakończone haczykami z zadziorami, które zaczepiały się o skórę i rozrywały ją. Obok skrzyżowania, przy którym JLu postawiła nasz Czarny Zamek, znajdowała się tabliczka z napisanym odręcznie oskarżeniem pod adresem wszystkich „*tfu!rystów*”, ponoć odpowiedzialnych za śmierć psa, który pobiegł za nimi i został potrącony przez samochód. Określenie „*tfu!rysta*” zaczęło krążyć wśród wędrowców jako mem; zaczęli mówić tak jeden na drugiego, jakby byli bandą wyjętych spod prawa wyrzutków toczących spór z miejscowymi Południowcami.

Dokużytykałem do Czarnego Zamku, uchylając się przed wymyślanymi haczykami. Stawało się dla mnie jasne, że przegrałem konfrontację z prawym kolaniem. W dodatku pojawił się kolejny problem: kłujący ból w lewym udzie. Tak bardzo starałem się oszczędzać prawą nogę, że nadwreżyłem i najprawdopodobniej uszkodziłem mięsień lewej. Szybka diagnoza: naderwany mięsień czworogłowy uda.

Na szczęście – i niestety – wiedziałem, co mi pomoże: RICE, czyli R jak *rest* (odpoczynek), I jak *ice* (lód), C jak *compression* (ucisk), E jak *elevation* (uniesienie) – akronim, który równie dobrze mógł wyglądać tak: PRZERĄBANE. Łagodnie nadwyrężenie przechodzi z reguły po jakichś dziesięciu dniach, średnie potrzebuje do czterech tygodni, natomiast mocno naciągnięty mięsień może uziemić biegacza nawet na dwa miesiące.

Czas nie pracował na moją korzyść. Leżałem na łóżku w vanie, zimna woda ściekała mi po nogach, w jednym ręku trzymałem rondel z pływającym w oliwie z oliwek pełnoziarnistym makaronem, a w drugim przewodnik po AT. Dwadzieścia cztery godziny po pojawieniu się bólu w prawym kolanie uszkodziłem sobie również lewą nogę, próbując zrównoważyć nacisk na kończyny. Okazało się, że oprócz wygranej z czasem, przydałaby się też nagroda specjalna w postaci pary nowych nóg.

Zasypiając, pomyślałem o pokrzepiających słowach Horty'ego: „To coś w sam raz dla ciebie, stary!”, które wypowiedział w Waszyngtonie na PCT dwanaście lat wcześniej. A potem przypomniła mi się wędrówka z Hortym ostatniej nocy. Żałuję, że nie zostałem tam, na górze, w świetle księżyca.

Poprzednie dwa dni upłynęły pod znakiem kolejnych kilometrów, kolejnych opadów deszczu, kolejnego bólu i kolejnych wątpliwości. Podróż poślubna zdecydowanie dobiegła końca. Pod koniec szóstego dnia natrafiłem na ustawioną w poprzek Zielonego Tunelu barierę z pozoru nie do pokonania...

...która z każdym dniem zdawała się coraz wyższa.

Wyruszyłem wczesnym rankiem, samotnie, kuśtykając i krzywiąc się z bólu, ale jakoś parłem do przodu, dopóki...

Zamrugalem i odchyliłem głowę nieco do góry.

Najpierw usłyszałem, a potem zobaczyłem.

Wysoko ponad sufitem z dębowych gałęzi, ponad szmaragdowym tunelem, który stał się całym moim światem, niebo pękło z donośnym trzaskiem. Wędrowałem AT dopiero od tygodnia, ale już wiedziałem, jak trudno pozostać suchym pod powalą szlaku.

W miarę jak deszcz nabierał intensywności, strop z listowia okazywał się coraz bardziej dziurawy. Wystarczyło kilka chwil, by ścieżka zamieniła się w płynącą niespiesznie rzekę błota i bym przemókł do suchej nitki. W szumie deszczu ginęły wszelkie inne dźwięki: oddech, bicie serca, plusk wody w kałużach, w których lądowały moje stopy. Ucichły nawet śpiewające ptaki. Znowu byłem sam. Znowu mokry od stóp do głów.

Bywały chwile, w których bezkresny szlak na północ wydawał się przytulny jak ciepły szalas, ale zdarzało się też, że był niczym ciemna jaskinia-samotnia. Od czasu do czasu miałem wrażenie, że powoli spadam ku czemuś odległemu. Nie wiedziałem, co takiego pchało mnie do przodu.

To była jedna z t a k i c h chwil. Minęły zaledwie trzy dni, od kiedy stanąwszy na wysokiej polanie, poczułem falę zwątpienia co do wyprawy, na którą wreszcie zdecydowałem się wyruszyć, i zacząłem się użalać nad sobą. Jak się miałem wielokrotnie przekonać na AT, trzy dni w zupełności wystarczą, by ze szczytu znaleźć się w dolinie.

Brnąłem przez błoto, kamienie i korzenie, biegłem wijącym się jak wstęga szlakiem, który wznosił się i opadał do rytmu jakiejś niepoznawalnej przedwiecznej geologii tego regionu. Zmierałem na północ.

Nie to, żeby brakowało urozmaiceń. Bieg Szlakiem Appalachów w Karolinie Północnej nie przypomina bynajmniej jednostajnej, nieciekawej wędrówki traktem bólu i cierpienia. Jest w nim poezja i są też, rzecz jasna, atrakcje. Na przykład każda z moich nóg doświadczała obrażeń zupełnie innego rodzaju.

Kuśtyk. Utyk. Kuśtyk. Utyk.

Szarpięcie. Ból. Szarpięcie. Piekący ból.

Minęło dopiero siedem dni wyprawy, a ja zdążyłem się dorobić naderwanego mięśnia czworogłowego lewego uda i wściekle bolesnego zapalenia rzepki w prawym kolanie. Kiedy lądowałem na prawej nodze, przechodził mnie prąd i czułem się, jakby dentysta borował mi w kolanie; kiedy lądowałem na lewej, udo przeszywał palący ból i wyobrażałem sobie wtedy, jak ktoś próbuje przekroić mi mięśnie nożem do masła.

Przez całe życie wystawiałem swój organizm na ciężkie próby. Doznawałem urazów, które śmiało mógłbym porównać ze średniowiecznymi torturami. Cierpiałem. Dwukrotnie przebiegłem dwieście siedemnaście kilometrów przez Dolinę Śmierci w temperaturze sięgającej pięćdziesięciu dwóch stopni Celsjusza. W zestawieniu z pustynią Mojave, Szlak Appalachów to była sielanka.

Wszystko to było prawdą – i zarazem nie miało żadnego znaczenia.

Nigdy nie czułem takiego bólu jak teraz. Nigdy. Bywałem kontuzjowany, dopadało mnie zniechęcenie i poczucie porażki. Ale tym razem to było coś innego.

Po siedmiu dniach zmagania z FKT na szlaku zaczęło do mnie docierać, że istnieją dwa rodzaje bólu. Jeden to ten, który znałem od lat: katalityczny, gwałtowny i wściekły, taki, co sprzedaje ci kopniaka w żebra i wali otwartą dłońią w twarz, żebyś dzwignął się z ziemi i parł przed siebie. Wrzeszczy na ciebie, kiedy zbliżasz się do przeszkody niemożliwej do pokonania – i sprawia, że odpowiadasz mu krzykiem. Ten ból cię wypełnia. Dodaje skrzydeł. Czini cię wielkim.

Drugi jest jego przeciwieństwem.

Ten ból o d b i e r a, wydrąża, sprawia, że człowiek czuje się pusty. Miałem wrażenie, jakbym zostawiał na szlaku fragmenty siebie. R o z p a d a ł e m s i ę. Traciłem siły, i to w szybkim tempie.

Przez ponad dwadzieścia lat nogi były moim drugim co do ważności atutem. Dzięki nim startowałem w zawodach na całym świecie i pokonywałem tysiące kilometrów. Nigdy wcześniej mnie nie zawiodły. Jednakże moim najważniejszym atutem – który traciłem tylko od czasu do czasu – była głowa.

Rzeczywiście: b y ł a.

Siódmego dnia wyprawy, kiedy nogi bezdyskusyjnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa, deszcz się nasilił, a wątpliwości odzywały się coraz mocniejszym głosem, zrozumiałem, że pośród przygotowań i uwagi, jaką poświęciłem odpowiedniej diecie, zaniedbałem pracę nad motywacją, nad odpowiedzią na pytanie o to, co ja tu właściwie robię.

Mam na swoim koncie wiele sukcesów. I wiem jedno: kiedy wygrywasz, rzadko zadajesz sobie pytanie o to, d l a c z e g o. Możesz to słowo przyćmić osiągnięciami, możesz przykryć triumfami. Burza oklasków sprawia, że nie słyszysz nawet własnych myśli. Ale to, że je zignorujesz, nie oznacza, że „dlaczego” przestanie istnieć. Ono się nie starzeje, nie męczy. Dogania cię, gdy przed nim uciekasz, i staje się głośniejsze. Naprzykrza się, mąci myśli, które najchętniej położyłbyś spać w ciemnym kącie.

Może jestem na to za stary?

Zderany wątpliwościami i osamotniony spojrzałem na zegarek i pokuśtykałem dalej.

Nawet jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, czeka mnie jeszcze c o n a j m n i e j trzydzieści pięć dni na szlaku. Trzydzieści pięć dni na wyścig z czasem, na próby przegonienia duchów wędrowców i biegaczy, którzy przede mną dowiedli swojej wartości na AT. W teorii byłem mocnym kandydatem na rekordzistę szlaku. Ścigałem się w górach, na pustyni, na szosach i szlakach, pokonałem wiele przeciwności.

I wcale nie byłem sam.

Wiedziałem, że JLu czeka na mnie, zastanawia się, co się ze mną dzieje, i zapewne czuje się równie samotna jak ja. Postanowiliśmy zmierzyć się z tym zadaniem razem, we dwoje, ale przecież jej obowiązki i wyzwania wyglądały zupełnie inaczej od moich. Przygoda, którą przeżywaliśmy, była tak samo moja, jak i JLu – była nasza. Pomyśl wyszedł ode mnie, ale szybko go podchwyciła. Początkiem naszej współpracy przy wyprawie na AT była kłótnia na pustyni Mojave.

Miałem czterdzieści jeden lat, wkraczałem w wiek średni. Niektóre spośród dróg, którymi szedłem, były gładkie i pozbawione przeszkód; inne wymagały pospiesznego wycinania ścieżki przez busz. Śmierć matki, rozwód, częste zmiany pracy, niezrealizowane plany założenia rodziny – wszystko to zaczęło się ostatnio nawarstwiać. Na zmianę wpadałem w długi i wychodziłem z nich, niedawno po raz pierwszy w życiu zaciągnąłem kredyt hipoteczny, musiałem spłacać pożyczkę na samochód, miałem do uregulowania rachunki za leczenie

– wszystkie te troski finansowe odczuwałem jak dokuczliwą kontuzję, której nie umiałem się pozbyć.

Ale przecież miałem doświadczenie w starciach z bólem i jakoś dawałem sobie radę, a nawet więcej – byłem zadowolony. Wytrzymałość odpłaciła głęboko zakorzenionym ciepłem; wiele osiągnąłem, zaś wyboista droga mojego życia uczyniła mnie człowiekiem takim, a nie innym. Wraz z wiekiem średnim pojawił się paradoksalny spokój duszy: nagromadzenie wspomnień, zarówno dobrych, jak i złych, złagodziło ból związany z pamięcią i tymi pojedynczymi jej przeżytkami, które wiązały się z cierpieniem. Czym jest jeszcze jeden kilometr, kiedy przebiegło się ich siedemdziesiąt dziewięć?

Miałem również wiele powodów do wdzięczności. Przede wszystkim byłem wdzięczny JLu, mojej najlepszej przyjaciółce i żonie za gotowość współpracy i za to, że dała mi możliwość zastanowienia się nad tym, dla czego robię to, co robię.

Na pustyni odpowiedź wydawała się oczywista, najpierw mnie, potem jej. Uznaliśmy, że starcie w bitwie charakterów ze Szlakiem Appalachów było mi po prostu pisane.

Charakter, czy też siła woli, to jednak tylko jeden z wielu składników przepisu na sukces, tak jak wykonanie i zdolności adaptacyjne. Dowolna osoba może kupić składniki z listy, ale nie każdy potrafi upichcić z nich smaczne danie. Na przestrzeni trzech tysięcy kilometrów wszystko się może zdarzyć. Taki dystans opiera się wszelkim próbom ustalenia jakiegokolwiek planu działania. W początkowej fazie wyprawy uważałem to za zaletę. Zdawałem sobie sprawę, że moją tajną bronią będzie doświadczenie w radzeniu sobie z nieprzewidywanymi trudnościami. Przeżyłem już wiele kryzysów, dlatego wiedziałem, że w razie czego potrafię po raz kolejny odwołać się do tego, co we mnie najlepsze, i stawie czoło wyzwaniom, których z pewnością nie unikniemy przez te sześć tygodni.

Musiałem jedynie odnaleźć w sobie to, co najlepsze. I to szybko.

Docierało bowiem do mnie, że u podstaw mojej podróży na północ leży konflikt. Owe dwa powody, które na początku wydawały mi się jasne i przejrzyste, zaczęły się rozmywać na deszczu i tracić wyrazistość. Co więcej, zaczęły mi się jawić jako sprzeczność.

Wyprawilem się na szlak w poszukiwaniu przygody, bo chciałem się sprawdzić, odkryć siebie i napędląć tą pozytywną energią, którą znajdę po drodze, abym mógł z otwartym umysłem i sercem zmierzyć się z wiekiem średnim?

Czy może zwyczajnie zależało mi na wygranej?

Ponad sufitem Zielonego Tunelu przetoczył się grzmot i wyrwał mnie z zamyślenia. Szlak nie dbał o to, dlaczego nim wędrowałem. Ale uświadomiłem sobie, że skoro mam w perspektywie jeszcze co najmniej trzydzieści pięć dni wyprawy, to ważne jest – najważniejsze, od tego wszystko zależało – abym ja sam to wiedział.

Deszcz, błoto, kamienie i wątpliwości, o które mogłem się potknąć boleśniej niż o wystający korzeń, przypominały, jak bezwzględny i groźny potrafi być AT. Zarazem był uosobieniem piękna.

Wcześniej tego samego dnia, w miejscu zwanym Przełęczą Samsów, gdzie autostrada międzystanowa I-26 przecina podbrzusze Smokies, dołączył do mnie Will Harlan, stary kumpel z tras ultramaratonów. Szlak przez wiele kilometrów wiedzie tam wzdłuż granicy Karoliny Północnej z Tennessee. Will znał te góry jak własną kieszeń. Mieszkał w Asheville w Karolinie Północnej, był więc praktycznie u siebie. Przyłączywszy się do biegu, opowiedział mi o historii tego regionu, o florze i faunie, o tubylczych ludach, których członkowie jako pierwsi wędrowali po Smokies, i o tajemniczych preriowych szczytach, na które się wspinaliśmy. Wdrapaliśmy się na mierzącą tysiąc sześćset siedemdziesiąt metrów górę Big Bald – i na niższą o sto metrów Little Bald, by ujrzyć przestwór traw i niewysokich krzewów.

– Tutejsze *balds*, czyli „łysiny”, to ekologiczna zagadka i dylemat służb ochrony przyrody. Naukowcy nadal nie potrafią stwierdzić, skąd się właściwie wzięły – powiedział Will, kiedy moje obolałe ciało usiłowało dotrzymać kroku przewodnikowi.

Uraczył mnie zestawem podstawowych informacji na temat małych zielonych traszek w czerwone kropki – ich oficjalna nazwa brzmi: atlantotryton zielonawy – które co rusz przemykały po szlaku, i wyjaśnił, że na tym w sumie niewielkim wycinku Appalachów żyje kilkanaście gatunków płazów, których nie spotkam nigdzie indziej na świecie. Lekcja biologii w wykonaniu Willa pozwoliła mi na chwilę zapomnieć o bólu, ale mimo to przez cały ranek czułem, że stan naderwanego mięśnia czworogłowego w lewym udzie nie poprawia się, a wręcz pogarsza. Ból najwyraźniej wpływał na moją zdolność prowadzenia rozmowy, bo Will co rusz przerywał wykład i przypominał mi, że kto jak kto, ale ja pewno dam radę.

Miał chyba rację i byłem mu wdzięczny za te słowa, tyle że akurat wtedy wcale nie czułem, że były prawdziwe.

W chwilach ciszy mój umysł porzucał traszki i trawiaste *balds*, by skupić się na bólu. Chcąc odzyskać kontrolę nad myślami, zacząłem powtarzać sprawdzone mantry: „Czasami po prostu trzeba. W końcu po to tu przyjechałeś”. Zdecydowałem się pójść tą drogą. Postanowiłem poddać ciało i umysł ciężkiej próbie.

Wiedziałem, że na nawozie ze znoju wykielkuje przemiana i że pod koniec wędrówki dostąpię pouczającej błogości, która będzie dla mnie najlepszą nagrodą, bo nic nie jest w stanie zagwarantować tego uczucia: ani pieniądze, ani władza – ani zdrowe mięśnie czworogłowe. Istnieje ono w każdym z nas. „Trzymaj się kursu – mówiłem sobie. – Ciśnij dalej”. Sęk w tym, że część mnie – znaczna część – uparcie kwestionowała wybory, których dokonałem i które przywiodły nas tutaj.

Harmonogram biegu i logika FKT dodatkowo pogarszały moje kłopotliwe położenie. Nie potrafiłem pojąć, jak to się stało, że tak szybko wpadłem w przegnębienie i zacząłem się nad sobą rozczulać. Zaledwie po tygodniu. A przecież na początku szło tak dobrze. Zanim uszkodziłem sobie mięśnie i rzepekę, wydawało mi się, że powoli łapię rytm i że razem z JLu ogarniamy tę przygodę, biorąc ją taką, jaka jest.

Przerzuciłem winę na Smokies i strome zbocza, po których musiałem zbiegać. I Horthy'ego, gdziekolwiek go poniosło. Powinienem był pozostać na szczycie Max Patch i podziwiać świecące grzyby, zamiast słuchać jego rad.

Nadal czekałem, aż mi się zmaterializują nowe nogi. Dzieliło nas zaledwie kilka kilometrów od najbliższego skrzyżowania przez Przełęcz Spiveyów, gdzie miała czekać JLu. Widząc, że kuśtykam i poruszam się coraz wolniej, Will postanowił pobiec przodem i poszukać wędrowca, który poczęstowałby mnie ibuprofenem. Był zaskoczony, że nie mam leku przy sobie, a nie miałem, bo nigdy nie używałem.

Strumień myśli wysechł i znów zacząłem czuć deszcz na skórze. Gdyby tylko to jego miarowe bębnienie na baldachimie z liści choć trochę mnie uspokajało... W Seattle nawet udało mi się polubić szum wody i stukanie kropel o parapet. Ale w Seattle deszcz nie sprawiał wrażenia niewygodnej metafory załamującego się świata, którego pozostałości płyną wezbranym szlakiem.

W naprawdę trudnych chwilach moje myśli instynktownie wędrowały ku Jenny. Doszedłem do wniosku, że jeśli zrezygnuję, JLu będzie chyba bardziej zawiedziona ode mnie. Przyznałem się przecież, że podjąłem się tej wyprawy dla niej. Wiedziałem niemal co do słowa, jak zareaguje, jeśli się zwierzę, że zastanawiam się nad wywieszeniem białej flagi, i myśl o tej rozmowie jeszcze bardziej mnie dobijała.

Kuśtyk. Utyk. Kuśtyk. Utyk.

Skrzyp. Łup. Przeszywające szarpnięcie. Łup.

I oczywiście...

Piekący ból.

Czułem się fatalnie, jak nigdy wcześniej, i nie potrafiłem sobie wyobrazić, że może być jeszcze gorzej. Wtedy usłyszałem znajomy głos.

– Oto i nasz biegacz! Jak się trzymasz, chłopaku?

Szczerze mówiąc, nie byłem w nastroju na Horthy'ego i jego nieokiełznaną energię. Nie jestem pewien, czy w ogóle miałem ochotę na cokolwiek, ale jeśli już, to na pewno nie na słuchanie go. Tyle że Horthy znał szlak. Ćwierć wieku wcześniej, niemal co do dnia, zmierzył się z rekordem AT. Dziś ten sześćdziesięciosześcioletek był skarbnicą wiedzy i doświadczenia, o czym – niestety – doskonale wiedział.

– No co jest?! – zagrmiał tak, że usłyszał go cały las. – Wyglądasz jak polamaniec!

Pokręciłem głową, krzywiąc się z bólu. Niech zobaczy, w jakim jestem nastroju. „Nawet nie zaczynaj” – pomyślałem, a na głos powiedziałem:

– Jest źle, i to bardzo. Nigdy wcześniej tak mocno nie naderwałem czworogłowego. Ledwo mogę kuśtykać. Pokonanie ostatnich trzech kilometrów zajęło mi dwie godziny, a czuję się coraz gorzej i biegnę coraz wolniej.

Horthy wiedział, na jakim etapie się znajduję, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, i muszę oddać mu sprawiedliwość, że zamiast zalać mnie słowotokiem, podał mi pomocną dłoń.

Na szczęście nie mieliśmy daleko do krzyżówki.

– Zaprowadzę cię do vana. Jenny zrobiła kanapki. Przebierzesz się w suche ciuchy. Will załatwił ibuprofen. Przed nami długa, przyjemna wspinaczka. Poczujesz się lepiej. Najgorsza dla mięśni czworogłowych i dla kolana jest praca ekscentryczna. Zbieganie potrafi napraaaawdę dać w kość!

Westchnąłem z rozdrażnieniem i powiedziałem:

– Horthy, słuchaj, sam nie wiem, co mam robić.

Ruszył przodem. Pokuśtykałem za nim, próbując poprawić przekrzywioną maskę twardego zawodnika, ale nad moimi emocjami zbierały się ciemne chmury. Poczulem, że lzy napływają mi do oczu. Akurat kiedy pomyślałem, że nie zdołam ich dłużej powstrzymywać, Horthy odwrócił się i zajął w głąb mojej duszy.

– Zapamiętaj sobie, chłopcze: „Oto kim jestem, oto co robię”.

W innych okolicznościach słowa starego, stukniętego Horthy'ego zabrzmiałyby jak bajdurzenie starego, stukniętego Horthy'ego. Ale tu i teraz odebrałem je jak doskonałą odpowiedź na pytanie, którego nie potrafiłem wyrzucić z głowy.

Dlaczego?

Ponieważ oto kim jestem.

I oto co robię.

* * *

Sięgnęłam po atlas leżący na fotelu pasażera, otworzyłam go i przesunęłam palcem po przerywanej czerwonej linii, którą oznaczono Szlak Appalachów. Od dwóch dni jechałam na północ wzdłuż granicy Tennessee z Karoliną Północną. Nie wiedziałam, w którym stanie formalnie się znajduję, jedynie tyle, że najbliższym miastem jest Erwin w Tennessee.

Po raz ostatni widziałam Jurkera na Przełęczy Samsów. Chwilę po tym, jak go tam zostawiłam, nagle się rozpadało. Chlusnęło z chmur tak niespodziewanie i mocno, że wyglądało to jak sztuczny, tandetny deszcz ze starych filmów. Jurek w *Parku Jurajskim*. Scott miał na sobie szorty i koszulkę bez rękawów, spod której było widać gęstą jasnoczerwoną wysypkę, która wystąpiła z dnia na dzień i rozprzestrzeniła się na cały tors. Oprócz tego miał ślady po oparzeniu sokiem sumaka jadowitego sprzed wyjazdu w Appalachy. Dodatkowo duża wilgotność powietrza sprawiała, że ubrania bez przerwy podrażniały mu skórę. Tkaniny bardzo łatwo nasiąkały i długo trzymały wilgoć. Przyzwyczailiśmy się, że w Kolorado ciuchy błyskawicznie wysychają. Tutaj było inaczej.

Przemieszczałam na Północnym Zachodzie wiele lat i deszcz nie był dla mnie niczym niezwykłym. Właściwie to nawet darzyłam go sympatią, lubiłam zwłaszcza biegać w strugach. Co innego w Appalachach; tutaj człowiek przemakał, nawet kiedy siedział pod dachem. Wilgotność sprawiała, że po wewnętrznej stronie kolan nieustająco spływały mi kropelki potu, choć przecież to nie ja pokonywałam biegiem osiemdziesiąt kilometrów dziennie. Nie było ucieczki przed wilgocią. Atakowała wszystko, również to, co się znajdowało wewnątrz. Torba z brudnymi ciuchami Scotta cuchnęła jak zmokły kundel, pieczywo pleśniało w kilkanaście godzin, owoce psuły się równie szybko, dodając swoją szczególną woń do wachlarza zapachów na tych niespełna sześciu metrach kwadratowych, które nazywałam domem.

Mimo to nie zamieniłabym się miejscami z Jurkerem.

Gdziekolwiek teraz był.

Scenariusz działania ekipy wsparcia biegacza wygląda następująco: zwiąszasz sprzęt, pędzisz na następny przystanek, przygotowujesz wszystko, co

trzeba, i przez resztę czasu wsłepiasz się w szlak, wyciągając szyję i wypatrując oznak ruchu. Mówi się, że to robota z gatunku „spiesz się i czekaj”. Spoglądając na zegarek, jedynie dodawałam sobie trosk. Bałam się, że jakimś cudem nie zdążyłam na spotkanie albo że rozminęłam się ze Scottem, choć to było mało prawdopodobne. Przecież niemożliwe, żeby zdążył dotrzeć na miejsce przede mną – chyba nie biega aż tak szybko? W większości wypadków ustawialiśmy się w miejscach nieobjętych zasięgiem sieci komórkowej, więc nawet nie mogłam sprawdzić wskazań lokalizatora GPS, a przecież umawialiśmy się, że będę to robiła. Najzabawniejsze, że wszyscy ci ludzie, którzy śledzili postępy Scotta na ekranach komputerów, lepiej ode mnie znali jego aktualną pozycję.

Wiedziałam tylko tyle, że z Jurkerem biegnie Will Harlan, którego nie znałam osobiście. Przed wyprawą Jurker nie chwalił się, dokąd się wybiera – zdradził swoje zamiary garstce osób – ale gdy tylko zamieścił na swoim profilu zdjęcie białego prostokątnego oznaczenia, posypały się propozycje pomocy.

Okazuje się, że „pomoc” jest słowem o wielu tonacjach.

Wiem, że ludźmi kierowały dobre chęci, ale niestety nie byłam ani tak przystępna, ani cierpliwa jak Jurker. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, to żeby tłum przyjaciół, biegaczy i nieznajomych próbował jeden przez drugiego uzgadniać ze mną swoje plany, zwłaszcza tutaj, gdzie komunikacja z kimkolwiek znajdującym się poza zasięgiem głosu była mocno utrudniona.

Zgubić się na AT jest prawie niemożliwe, ale jeżdżenie po tych wszystkich wiejskich drózkach, które przecinają szlak, i odnajdywanie właściwych to zupełnie inna para kaloszy. Jak dotąd wyglądało to tak, że na każde przebiegnięcie przez Jurkera piętnaście kilometrów pokonywałam samochodem pięćdziesiąt. Ilekroć wydawało mi się, że zbliżam się do szlaku, musiałam zwalniać i, jadąc w zółwym tempie, wypatrywać na drzewach śladów maźnięć białą farbą.

Podjechałam kawałek dalej, wzięłam kolejny zakręt na wąskiej drodze i zobaczyłam charakterystyczną hondę element należącą do Horty’ego, zaparkowaną przy skrzyżowaniu ze szlakiem. Ulżyło mi. Wiedziałam, że prędzej czy później znajdę właściwe miejsce.

Przyznaję: wzdrygnęłam się, kiedy usłyszałam, że spotkamy się z Hortym na szlaku. Jedyny raz miałam z nim do czynienia w 2003 roku, kiedy to na starcie mojego pierwszego w życiu pięćdziesięciomilowca zaczął się nabijać z mojego piskliwego głosu. Zaczęłam biegać raptem dwa lata wcześniej, byłam przejęta i denerwowałam się, a tu jeszcze uwziął się na mnie ten słynny David Horton.

– Ginny! – odezwał się, naśladowując mój głos. – Ginny, będziesz się ściagała? Ale to przecież wyścig dla f a c e t ó w, Ginny!

Odsunęłam się od niego i pomyślałam: „Jak to, u diabła, możliwe, że ten krzykacz wyklada na chrześcijańskiej uczelni?”. Kiedy wpadłam na metę (raptem piętnaście miejsc za Hortym, gdyby ktoś pytał) i zobaczyłam, jak leży na łóżku w namiocie medycznym, zrozumiałam, że ten stary pies więcej ujada, niż gryzie. Drwiną wyrażał sympatię. Jeśli potrafię ją przyjąć albo – jeszcze lepiej – samemu odciąć się szyderczą uwagą, wówczas byłeś w dechę. Pomimo mentalności klasowego zakąły Horty okazał się całkiem uczynnym gościem.

Zaparkowałam Czarny Zamek za jego autem i zobaczyłam, że Horty siedzi pochylony za kierownicą wozu. Studiował swoje stare zapiski z AT i uzupełniał je o nowe spostrzeżenia. Pomyślałam, że pewnie wraca pamięcią do własnej próby ustanowienia FKT, i stwierdziłam, że mógłby mieć w zanadrzu jakąś pożyteczną radę dla Jurkera.

Zostawiłam Horty’ego z jego planami i wzięłam się do szykowania kanapek dla Jurkera i przygotowywania ekwipunku. Deszcz tłukący o dach vana wywoływał senność. Podkręciłam muzykę, bo nie wolno mi było zmrużyć oka. Na chwilę udało mi się pozbyć trosk. Nagle zobaczyłam, że ktoś biegnie w moją stronę.

– Cześć! Scott zaraz tu będzie – oznajmił Will. – Boli go, kiedy obciąża lewą nogę, a z prawą wcale nie jest lepiej.

Jakieś pięć minut później spomiędzy drzew wyłonił się Jurker. Szedł, podpierając się kijami trekkingowymi, jakby poruszał się o kulach. Nie zdążyłam powiedzieć, żeby usiadł i wypowiedział się z tego, co się dzieje, bo Horty natychmiast przejął inicjatywę.

– Kiedy byłem na tym odcinku AT, golenie bolały mnie tak, że myślałem, że odpadną, więc zamiast biec, po prostu szedłem i tak zaliczałem kilometry.

Chciałam powiedzieć: „Jurker, zaczekaj. Porozmawiaj ze mną. Nie biegnij dalej tylko dlatego, że Horty sobie tego życzy”, ale ugryzłam się w język. Horty znał AT. Za to ja znałam J u r k e r a i widziałam, że myśli o przerwaniu wyprawy. Wgramolił się do auta i usiadł po stronie pasażera. Gapił się tępo przez przednią szybę, przez strumienie wody.

Horty zastukał w okno. Miał plan. Postanowił, że zostawi tu swój wóz i prze-maszeruje z Jurkerem kolejny piętnastokilometrowy odcinek. Uznałam to za fatalny pomysł. Wiedziałam, że latem rok wcześniej Horty przeszedł zabieg wymiany stawu kolanowego i od tamtej pory nie pokonał piechotą więcej niż osiem, może dziesięć kilometrów naraz. Mimo to znów powstrzymałam się od

komentarza. Może towarzystwo Horty'ego pomoże Scottowi ukoić ból. Jeśli nie, będę miała pod opieką dwie kaleki na szlaku.

Zabrakło czasu na zastanowienie. Od razu wyruszyli. Dwaj starzy kumple przecięli drogę i zniknęli między drzewami. Słyszałam ich głosy długo po tym, jak straciłam ich z oczu.

Horty zostawił mi instrukcje przepisane ze starych notatek.

Pojechałam do Erwin i wynajęłam pokój w hotelu stojącym najbliżej szlaku. Nazywał się Mountain Inn and Suites. Nie chciałam kończyć tam dnia, bo wtedy zaliczylibyśmy opóźnienie. Niemniej przemówiła do mnie wizja gorącego prysznic – pierwszego od prawie tygodnia – i szansa na wysuszenie ciuchów. Potem poszłam do Walgreens i kupiłam najsilniejszy lek przeciwzapalny, jaki mieli na składzie. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że jest n a p r a w d ę źle. Jurker nigdy nie przyjmował leków. Poważnie: nigdy. Stojąc w sterylnym, rozświetlonym lampami fluorescencyjnymi wnętrzu Walgreens, które raptem wydało mi się obce, doszłam do wniosku, że nasza podróż dobiegła końca. „No to pięknie. Jak on się teraz wytłumaczy przed internetem?” – zastanawiałam się. Może: „Za szybko się wyprztykałem... i tyle”. Albo: „Następnym razem się uda; to była tylko próba generalna”.

Nie, nie byłoby następnego razu. Temat Szlaku Appalachów zostałby zamknięty.

Złatwiwszy sprawunki, pojechałam na krzyżówkę ze szlakiem w pobliże hostelu Uncle Johnny's. Dostałam wiadomość od Horty'ego, w której napisał, że są z Jurkerem bliżej drogi, niż się spodziewałam. Jakimś sposobem, jakimś cudem, poruszają się miarowym tempem. Odpisałam słowami: „Doskonale! Mam tu dla was, chłopaki, koktajl z witaminek dla seniorów i dwa wózki inwalidzkie!”.

Wysłałam im naprzeciw. Akurat przestało padać. Horty bawił się w przewodnika, tłumacząc, którędy dawniej przebiegał szlak, a kiedy naszym oczom ukazał się rozległy widok na Erwin, nasz towarzysz krzyknął ile sił w płucach „Heeej”, a dolina mu odpowiedziała. Jurker wciąż skręcał się z bólu. Na chwilę udało mi się jednak zapomnieć o niemożliwości tego, co tu robimy, i odgrzebać uczucie, które stało się udziałem nas obojga, kiedy jechaliśmy przez pół kraju, żeby dotrzeć do Appalachów. Przeżywaliśmy przygodę. Nieco bardziej burzliwą, niż się spodziewaliśmy, ale jednak przygodę.

Scott i Horty spiknęli się z wędrowcem o przezwisku „Bezki”, który utykał jak Jurker, bo miał okropnie niewygodne buty. Kiedy cała nasza czwórka dotarła

do vana, Jurker wyciągnął swoje nowiutkie brooks cascadia do biegów górskich. (Normalnie nosił rozmiar czterdzieści sześć, ale zabrał czterdzieści siedem na wypadek, gdyby spuchły mu stopy). Razem z Hortym złożyli autografy na obu butach, po czym wręczyli je Bezkijowi. Gdyby nasza wyprawa miała się tu zakończyć, Jurker i tak by ich nie potrzebował.

Odwiozłam Horty'ego do auta, a potem całą trójką pojechaliśmy do hotelu. Zrobiłam kolację: makaron fusilli z czerwonym sosem i kawałkami wegańskiej kielbasy. Horty był zbyt zmęczony, by żartować z mojego gotowania, i nawet poprosił o dokładkę.

Dwaj sterani szlakiem mężczyźni położyli się do osobnych łóżek, pomiędzy którymi stała szafka nocna ze staroświecką lampką, a ja zabrałam się do sprzątania po kolacji i szykowania rzeczy na kolejny dzień, który miał się dla nas rozpocząć wczesnym rankiem. Wtedy Jurker, który od pewnego czasu nietypowo milczał, przyznał się:

– Nie wyobrażam sobie, żebym był w stanie pokonać choćby sześćdziesiąt kilometrów na bolących obu nogach. – Nie odpowiedziałam. Nie chciałam, żeby się skończyło, ale też wiedziałam, że to, czego chcę, nie ma znaczenia.

Scott wziął leki. Horty wychylił się z łóżka, wyciągnął dłoń i powiedział:

– Rzuć no parę, co?

To nie było nic szczególnego, ot, chwila wspólnego bólu i rezygnacji, odrobina pokory ze strony dwóch stukniętych biegaczy. Mimo to wybuchłam śmiechem. Stoczyliśmy się na samo dno.

– Twój organizm znajdzie sposób na uśmierzenie bólu. Bo dysponuje pamięcią – oświadczył Horty z przekonaniem. – Przypomni sobie – dodał, wyłączył lampkę i zasnął.

PÓŁNOC

Kiedy Scott Jurek zaszył się w lesie, wyruszając na największą wyprawę swego życia, nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek stamtąd wróci. Był najlepszym amerykańskim ultramaratończykiem, biegaczem, który dzięki swojej inteligencji i niezwykłemu zaangażowaniu przez lata odnosił niebywałe sukcesy. Tym razem jednak wybierał się w rejony groźniejsze nawet od Doliny Śmierci i bardziej zdradliwe od meksykańskich kanionów. Jego opowieść o wyprawie w ślad za marzeniem urzeka i chwyta za serce.

CHRISTOPHER MCDUGALL

autor *Urodzonych biegaczy* i *Urodzonych bohaterów*

Scott Jurek nie byłby sobą, gdyby podjętej próby przebiegnięcia słynnego Szlaku Appalachów (ponad 3500 km długości) nie połączył z atakiem na rekord trasy. Właśnie to miało nadać sens jego 47-dniowemu wyzwaniu, którego sukces nie był pewny aż do ostatniego dnia. Znakomitym dopełnieniem opisów Scotta są relacje jego żony, bez których książka byłaby o wiele uboższa. Jenny towarzyszyła mężowi na całej trasie, pełniąc rolę ekipy logistycznej i wspierając Scotta duchowo. To było trudne i chwilami niebezpieczne zadanie, a Szlak Appalachów doprowadził oboje na skraj wyczerpania fizycznego i psychicznego. Naprawdę warto przeczytać!

JERZY SKARZYŃSKI

maratończyk (2:11:42)

Szlak Appalachów to 2200 mil (3540 kilometrów), 156 972 metry przewyższeń w 14 stanach. Scott Jurek uporał się z tym gigantycznym wyzwaniem w nieco ponad 46 dni, ale... to tylko bezduszne liczby. Jego nowa książka *Północ* jest dla mnie esencją tego, czym może być bieganie w wymiarze duchowym. Popularny Jurker, po raz kolejny dochodząc do granic ludzkiej wytrzymałości, pokazuje swoim podejściem do życia, czym może być pasja i jak ważna jest miłość do tego, co się robi. *Północ* jest dla mnie duchową ucztą. Aż chce się żyć bardziej!

MATEUSZ JASIŃSKI

założyciel TrenerBiegania.pl oraz KulturaRuchu.pl

PATRONAT MEDIALNY:



www.galaktyka.com.pl

ISBN: 978-83-7579-678-0



9 788375 796780

Cena: 42,90 zł (w tym 5% VAT)

